

**SAVITRI**



**PIEŚNI  
WALKI**

# SAVITRI

# PIEŚNI WALKI



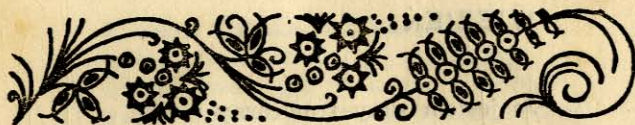
KRAKÓW 1908

Księgozbiór  
Humanistyczny

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0453208



*Opis.*

174665

### PIEŚŃ MOJA ZRODZONA...

Pieśń moja zrodzona pod więzień sklepieniem,  
wśród nocy bezsennych w mej trumnie, w mej celi,  
wśród dni, trzepoczących na kratkach pragnieniem,  
wśród rzezi ulicznych czerwonej topieli,  
wśród czynów szalonych i ślepych rozmachu,  
wśród szczęku browningów i huku pocisków,  
i śmierci męczeńskich bez drgnienia, bez strachu...  
Pieśń moja zrodzona wśród burzy połysków  
i jako jej grzmoty, surowa i twarda!  
W niej skarżą się gorzkie, bezdenne rozpacz  
i wściekłość bezsiły i chłodna pogarda,  
i cicha, bezbrzeżna tęsknota w niej płacze.  
Pieśń moja zrodzona wśród tłumów niedoli  
i chmurna jest łzami, jak dżdżyste obłoki...  
Lecz szumi nad wszystkim, co ciężkie, co boli,  
ocean miłości słoneczny, szeroki...

21/11/2015H

18,00 p

## WIĘZIENÍ.

Ja jestem silny i mocarny  
w wąskiej, samotnej mojej celi,  
tu się nasyci szal ofiarny,  
milczeniem myśl się wyanieli.  
Pozostawiłem poza progiem  
wzgardę i walkę z sobą — wrogiem,  
wyrzut bolesny, nieustanny,  
że pola dusz odłogiem leżą,  
że każda rozkosz ma — kradzieżą,  
że obok mętnych strug — fontanny,  
a obok brudnych chat — cieplarnie —  
wysił niemocny i męczarnie,  
przegniłe wielkich miast sumienie  
pozostawiłem poza progiem,  
i jasne stało się milczenie.

Moją wolnością — wola skuta,  
wolny nie bywa niewolnikiem...  
Dźwiga się posąg doskonały  
pod uderzeniem ciszy-dłuta,  
wyolbrzymiałej myśli krzykiem  
witam z oddali pochód tłumny,  
i marzeń krople kryształowe  
sączą się, rosna w stalaktyty,  
w gmachu przyszłości strop, kolumny.  
Gromadzę błyski piorunowe,  
co sług ucisku zmiążdżą glity.

Z mego okienka, z poza kraty  
widać więzienie ciał — warsztaty.  
Daleko, we mgle — komin czarny,  
gwizd mnie o zmierzchu budzi co dnia,  
i woła w dzień mozolny, gwarny,  
a tam — tam płonie już pochodnia  
prometeańska, w tłum rzucona,  
u wozu słońca zapalona.

I ja posyłam z ciasnej celi  
słowo potężne i prorocze,  
otwieram z dali moje głębie,  
jak ciche gońce, jak gołębie  
posyłam troskę — miłowanie.  
Modlitwą mą bezsłowną wieszczę:  
na ugór spadną ciepłe deszcze,  
i przyjdzie dzień — i cud się stanie!

O świetle czekam, obudzony,  
na zwołujące, ostre świsty —  
Fabryka milczy...

Patrzę cheiwie,  
tam w oknach czarno, piec zgaszony,  
cegłany komin już nie dymi,  
i z piersi wybiegł krzyk olbrzymi:  
Fabryka milczy!

Milczy senna,  
a głośniejszą wciąż brzmi uroczysty  
śpiew, dobrze znany, tryumfalny,  
i wschodzi słońca tarcz promienna,  
jak nimb przyszłości idealny.



### OKRĘT ZBAWIENIA.

Tam, gdzie pieszczotę morskich fal  
odtrąca pierś wybrzeża,  
stoi na zrębie ostrych skał  
kamienna, mocna wieża.  
Już dawno, dawno więzień w niej  
o kratę śni oparty,  
i słyszy tylko morza szum  
i okrzyk czujnej warty.  
Patrzy z tęsknotą chorą w dal  
na wodnych wzgórz ogromy...  
Czy wyczaruje jego wzrok  
Zbawienia znak widomy?  
Czy zdoła przebić mglistą dal  
tęsknota bezimienna  
i czy się porwie na jej krzyk  
drużyna jego senna?

On śni... Na sinej fali — hen —  
złociste mkną korabie,  
szkarłatne liny pręży wiatr  
i w żagli dmie jedwabie.  
I przyozdabia główny maszt  
tak znana mu bandera...  
Szczęście i ból mu ściska pierś,  
coś drży w nim i zamiera.  
Lecz nie przychodzi śniony dzień  
arką tęczowych mostów...  
A fala szepcze, strojąc brzeg  
w pas żółtych wodorostów.  
I tylko szumi, szumi, gra  
głęb morza przepaścista,  
i w krzyku mewy płacze, łka  
tęsknota wiekuista.

\* \* \*

Dostrzegł sokoli więźnia wzrok  
punkt czarny na głębinie —  
bliżej i bliżej — tak, to on!  
Okręt zbawienia płynie.  
Czemuż załogi mała garść?  
Wszak było druhów tyle!  
Zniszczyłać burza albo wróg  
odważne ich flotylle?  
Lecz mniejsza o to — dość, że są!  
Nieliczna warta strzeże!  
Niech tylko dotrą — blisko już,  
ach, blisko już wybrzeże!

Mocarz-Huragan z toni wstał  
z chmurzystem, złem obliczem,  
grzbiet nieuległych służek-fal  
wichrowym smagał biczem.  
Jęczały wiatry głuchą pieśń  
o losie, ślepym trafie,  
kiedy się rozbił okręt-ptak  
na koralowej rafie.

\* \* \*

W samotnej baszcie więzień śni,  
o kratę śni oparty...  
Tak beznadziejnie milczy dal,  
czuwają wrogie warty.  
I tylko szumi, szumi, gra  
głęb morza przepaścista  
i w krzyku mowy płacze, łka  
Tęsknota wiekuista.



## DO TOWARZYSZEK WIĘZIENIA.

Kobiety — bojownic wy ptaki, zakute  
w bezlitosnej obręczy więziennego muru,  
opancerzone w męstwo, zbrojne w młodą butę,  
piękne a niespożyte — jak kwiaty z marmuru.

W ciemni cel wy świecicie, jak drogie klejnoty,  
zamknięto w nich szkarłatne naszych serc rubiny,  
by snadź nie rozplonęły w jasne czynu grzmoty,  
kładąc silne przyszłego świata podwaliny.

W głębi cel wasze serca biją, jako dzwony,  
krzyk popłochu rzucają między wrogie szańce,  
budzą w zmęczonych piersiach duch buntu uśpiony,  
biją — a dźwięk ich leci aż w najdalsze krańce!

O wy kwiaty z wiosennej oczekiwania łąki,  
wicher rwał wam korony i łamał łodygi,  
mróz zwarzył białym szronem nierozkwitłe pąki —  
wyście nie odstępowały zwartej światła ligi!

Z odważną wiarą siałyście opyły płodne  
na najdziksze, najbardziej jałowe turnice,

szłyście pomiędzy tłumy posępne a głodne!  
W precudny wian was łączę — o kwiaty-siostrzyce!

Ciebie, wiotka, boleśnie wrażliwa Mimozo,  
co rzuciłaś twe ciche, melodyjne śnienia,  
poszłaś w burzę, by poić się jej krwawą zgrozą,  
poszłaś pomagać dziełu śmierci i zniszczenia!

Ciebie, o delikatna, wążła Primavero,  
niknąca w dusznej celi, a wciąż nieugięta,  
z prawdą w niebieskich oczach, głęboką i szczerą,  
a taka kochająca, że aż prawie święta!

Ciebie, łamikamienia kwiatuszku bielutki,  
który mocnym korzeniem kruszysz głaz po głazie...  
Ciebie, irysie, w marzeń pograżony smutki,  
o dziwnym, w każdym płątku odmiennym wyrazie!

Ciebie, storczyku, w borów wybujały cieniu,  
skromny z pozoru, zbliśka pełny aromatu!  
Ciebie, różo królewska, cicha i w cierpieniu,  
o słodyczy gazeli, wytworności kwiatu —

Z wirydarza Idei zerwane, o kwiaty,  
biorę was wszystkie w kornej mej miłości dłonie,  
splatam w wian wasze biele, fiolety, szkarłaty,  
i wian precudny kładę na Przyszłości skronie.

Pawiak, maj 1906.



## W NOC JESIENNĄ.

Rozszalała noc czarna, noc burzliwa, jesienna,  
jako rozpacz łkająca, jak tęsknota bezdenna.

— — — — —

Milczy głucho więzienie, jak grobowiec olbrzymi,  
jako zgłiszcze posępne, które krwią już nie dymi.

Przed więzieniem jak studnia, kwadratowe podwórze,  
kilka drzew się ugina z jękiem w dzikiej wichurze.

A wzdłuż ściany wartownik-żołnierz kroczy i kroczy,  
wicher szumi mu w uszach, mgła zasłania mu oczy.

Sojuszniczka to więźniów — noc jesienna burzliwa:  
wszystko płaszczem swym ciemnym, tajemniczym  
[okrywa.

Chodzi żołnierz — drgnie czasem twarz surowa i spita...  
Zrzadka piła na kracie nieostroźnie zazgrzyta.

Chodzi żołnierz i myśli o zabitej swej doli,  
i coś pierś aż rozrywa, coś tak płacze i boli.

Chodzi żołnierz — nie widzi, jak z okienka na sznurze  
jakaś postać się spuszcza... idzie... jest już na murze.

Oto więzień się wyrwał z grobu — życie znów wita,  
spragnionemi wargami świeży nocy dech chwyta.

Hej, zahuczycy znów walka taka mężna i młoda —  
czeka bratnia drużyna... Hej, swoboda, swoboda!

Nagle okrzyk: Stój, strzelę! — Żołnierz ręką zmartwiałą  
wycelował karabin — gruchnął strzał — spadło ciało.

— — — — —

Rozszalała noc czarna, noc burzliwa, jesienna,  
jako rozpacz łkająca, jak tęsknota bezdenna.

A w więziennem przedsieniu długo pili strażnicy  
i brutalnie śpiewali, strzegąc trup bladolicy.

Słysząc było do rana uderzenia miarowe:  
to naprędce zbijano świeże deski sosnowe.

I rzucając do trumny martwe ciało człowieka,  
żartowali strażnicy: — Niechże teraz ucieka!

A tam żywi, bezsenni, w trumnach-celach zamknięci,  
dziwnych dźwięków słuchali, dreszczem zgrozy przejęci.

— — — — —

Rozszalała noc czarna, noc burzliwa, jesienna,  
jako rozpacz łkająca, jak tęsknota bezdenna.

## BYŁEM PROROKIEM...

Byłem prorokiem...

Pośród tłumu stałem,  
i mojej prawdy czyste objawienie,  
promieniującą ze mnie wszechpotęgę,  
całe miłości bezgranicznej snopy,  
w masę milczącą i wrogą rzucałem,  
jak druzgoczące granaty w okopy.  
Rozdarłem prawa ich starego księzę,  
burzyłem wieże ich starego tumu,  
tajnych, odwiecznych tęsknicie kantyleny,  
chore rżenie pragnień ich niesytych,  
rozpaczne łkanie wszystkich snów zabitych,  
z głębin najkrwawszych, z serca ich wyrwałem,  
zrobiłem ciałem.

I ukazałem wizję dnia wesela,  
pełnego słońca, kwiecia, brzęczeń pszczelech,  
zdrojów, gdzie każda skaza się wybiela,  
i ukazałem w gloryi promienistej  
zbawienia kielich...

A mego słowa jasne błyskawice  
wciąż się wdzierały za zasłonę powiek,  
i zapalały ogniem ich źrenice,  
aż tłum, rozgrzany mą nieludzką mocą,  
stał się, jak jeden człowiek.  
Krzyk im rzuciłem: Sztandar w dłoń rozkutą!  
Naprzód! uwolnić się przez znój od znoju!  
I prowadzić z mężnej pieśni nutą  
na czyn! do boju!





## BYŁEM MĘCZENNIKIEM...

Byłem męczennikiem...

I wziąłem w siebie wszystkie ludzi nędze:  
śmiertelnie smutne, głodne ich spojrzenia,  
protest deptanych, mordowanych jęki,  
ślinę nikczemnej wzgardy na siermiędze,  
dni ciężkiej pracy szare, długie przędze,  
brud złego czynu, krew posępnej zbrodni,  
wylęgte gdzieś tam, w otchłani  
ciemnoty, głodu, cierpienia.  
Szumiały we mnie słone, mętne fale  
wieczystej męki...  
Ból mieszkał we mnie,  
i szedłem na dno, w nieprzebyte ciemnie,  
rzucałem tam promienie,  
a każde światło, ledwo zapalone,  
wchłaniały znowu mroki nieprzebyte.  
Bez końca trwała walka z siłą mroczną,  
i każda radość, ukojenie syte,  
wnet się stawały dręczącym wyrzutem:

Jaż mam spoczywać, gdy inni nie spoczną,  
gdy czarną wizją stają mi w pamięci,  
ci, wysileniem nieczłowieczem zgięci,  
oddychający powietrzem zatrutem?  
I krzyk rósł we mnie, jeden krzyk olbrzymi,  
i wybuchł straszną groźbą i protestem  
przeciw zła sile przemożnej.  
Zło mnie spętało —  
wróg zmóźdz mnie pragnął:  
udręczali ciało,  
nie czułem bólu, bo sam bólem jestem!...  
I wprowadzili mnie w śmierci ulicę,  
gdzie pręty w rękach posępnych siepaczy  
miały we mnie ciosy-błyskawice,  
i ciało zaczęły zdzierać.  
Wyrzut, udręka we mnie cicho kona:  
ja cierpię dosyć — ofiara spełniona,  
jak słodko, słodko umierać...



## DZIEŁO.

Towarzyszowi I. D.

Z materyą wiodłem bój — ze ślepą i oporną,  
żywioty wszczęły bunt — zdzierzyłem je mocarnie,  
kusila rozpacz mnie, łamały mnie męczarnie,  
a ja czekałem zórz w godzinę przedwieczorną.

W materyi ciemnej, zlej, rzeźbiłem prawdę żywą,  
piorunem woli mej i słowa błyskawicą,  
pragnieniem strasznem mem, szaloną mą tęsknicą,  
i oto stało się posłusznem mi tworzywo.

Skończyłem dzieło me — złożyłem władne dłonie,  
i patrzę cicho, jak w dokonań majestacie,  
wydarty siłą mą niebytom i zatracie,  
przedziwny, nowy kształt w słonecznej glori płonie.

## PO ŚMIERCI.

Przychodzisz do mnie noc po nocy,  
a siną pręgę masz przez szyję...  
Zrywam się z krzykiem: — Już umarłeś! —  
Ty odpowiadasz cicho: — Żyję! —

— — — — —

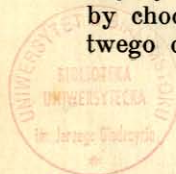
Przychodzisz do mnie noc po nocy,  
i ja całuję usta blade,  
na serce, chore miłowaniem,  
twoją męczeńską głowę kładę.

Przychodzisz w straszną noc bezsenną,  
a z twego czoła wieje zgroza...  
Całuję zimne twoje usta  
i siną pręgę od powroza.

Twoją męczeńską głowę pieczęcę,  
z której już mózg wyzarły żmije...  
Na jęk nieludzki: — Już umarłeś! —  
ty odpowiadasz cicho: — Żyję! —

— — — — —

W męce zmartwiła, bezpamiętna,  
błądzą stopami zbolałemi,  
by choć najlżejszy cień istnienia  
twogo odnaleźć tu na ziemi.



174665

Oto ujrzałam na mej drodze  
idący naprzód zastęp mężny,  
a w nim się zrywał, huczał, szumiał,  
wicher twej woli przepotężny.

A tam z otchłani ludzkich źrenic  
spłynęła łąą na me cierpienie  
twa seraficzna moc ofiary,  
wyanielone twe spojrzenie.

I wszystkie myśli twe orkanne,  
twych pragnień łoskot piorunowy,  
ujrzałam oto znów, wcielone  
w ten męczenników szereg nowy.

I głos twój doszedł mnie ze świata:  
twych buntowniczych słów zarzewie  
znów z dreszczem szczęścia usłyszałam  
w młodym, radosnym zwycięstw śpiewie!

— — — — —

Przychodzisz do mnie noc po nocy,  
a siną pręgę masz przez szyję...  
Łkam oszalała: — Już umarłeś!  
Ty odpowiadasz cicho: — Żyję! —



## WIOSNA IDZIE.

Już wiosna idzie, idzie wiosna...

W półśnie słonecznym dumająca,  
puszyste kotki wierzby trąca,  
wszywa jedwabie w łąki krosna...

Już wiosna idzie, idzie wiosna!

A rzeka z fali pianą białą  
wyrzuca na brzeg krwawe ciało,  
mknąc dalej, huczna i radosna!

Już wiosna idzie, idzie wiosna!

Ze strasznym bólem i tęsknotą  
mój sen o wiosnie marzę oto...  
Wyjdźcie w dzień ciszy lazuruowy  
zastęp odważny, jasny, nowy,  
zlecają się wrogich sił orkany...

A tam gałązek bezlistnych chór  
tajnym szelestem i rozhoworem  
kołysze, głębiej usypia dwór,

pieśnią o życiu pustem i chorem  
gra ponad dworem —  
śpi stary dwór...

A tam — czernieje pusty łąn,  
zalany krwią przebytych łąk,  
i czeka rąk...

Na rękach tyle blizn i ran!

A we wsiach dzieci bosc płaczą,  
z zawziętym gniewem i rozpaczą  
zaciska chłop swe twarde pięście...  
A rój jaskółek w słońcu złotem  
mówi a mówi swym świergotem:  
— Szczęście dla wszystkich, wszystkich  
[szczęście.

Już wiosna idzie, idzie wiosna!

Męka szamocze się bezgłówna,  
rozdziera piersi dziki żbik,  
wtłoczono w gardło buntu krzyk,  
stulecia krzywd, bezmownych skarg  
ugięły skroń, zgarbiły kark...

Już dość, już dość!  
Ja pragnę żyć, ja pragnę rość!

O wiosno, przyjdź!  
Za ból, za znój,  
ty daj nam bój, ostatni bój!

Niech się przemożny zbiera huf  
w stalowym, zimnym błysku luf!

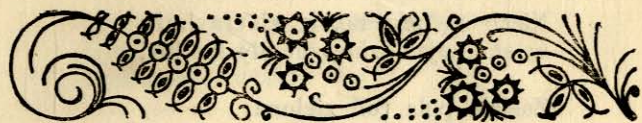
Zasłała pola ruń zielona,  
cisza wokoło roześniona,  
w pąkowiu drzemie tajń rozkwitu...  
W dworze przegniły już wiązadła,  
dumna budowa się rozpadła  
w gruzy niemocy i przesytu...

Rola w odświętnym majestacie  
do stóp się ścięła każdej chacie  
tym utrudzonym na kobierce...

Iści się wielki myt o wiosnie:  
na całej ziemi tak radośnie  
jedno olbrzymie bije serce.

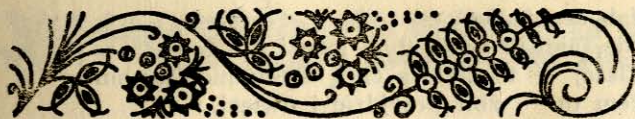
Narodów wiosno, zejdz na świat,  
już dosyć łąk i dosyć krat —  
O wiosno, przyjdź!

Za ból, za znój  
Ty daj nam bój, ostatni bój!



## OGRÓD ROZKOSZY.

Z jałowego pustkowiecia męczeńskiego trudu  
przeniesiono mnie w kraje bańnianego cudu.  
Tam w ogrodzie stał zamek z rzadkiego porfiru,  
beżlik pereł pokrywał ścieżki zamiast żwiru,  
zdrój rozpiesniony tryskał barwną tęczą rosy,  
otwierały swe czary śnieżyste lotosy.  
Pod gałęzmi platanów potęgi ukryte  
zastawiały mi stoły, nad miarę obfite.  
A mur, otaczający świat czarów pierścieniem,  
kryły makaty pnączy przed mojem spojrzeniem.  
Sytość mi podawano, jak czarę haszyszu,  
a ja błdziłem, burzą wrąc, w słodkiem zaciszu.  
Głos niewidzialny ku mnie wysłały przestrzenie:  
— Wszak nieczego ci nie brak w beztroskim edenie!  
wszak ostatni znak bólu z twego czoła stałem?  
czegoż rwiesz się i pragniesz? — Ja na to odparłem:  
— Nie moja dłoń wznosiła te piękne ogrody  
i jest w nich wszystko — wszystko, prócz twórczej  
[swobody! —



## W UKRYCIU.

Śpi opuszczony wiejski dom,  
za oknem w mgłach tak długo, strasznie szumią  
[drzewa...

O nie daj płynąć łzom!  
Wróg — wicher się naśmiewa,  
zmęczonemu myślom pieśń szaloną wyje  
i urągania szepcze nienawistne,  
a drzewa we mgle wyciągają szyje  
zezerniałe, nagie i bezlistne,  
jak szubienice!...

Tak głucho w starym domu...  
Tam w mieście skonał bój i milczą już ulice...  
Kłęska... Nie pojał lud potęgi i ogromu...  
Z chorągwią rozwiniętą cesarskie idą pułki,  
a zgroza chrypi przyczajona,  
w najdalsze wpełza gdzieś zaułki...  
Ja widzę w mgle ramiona, wciąż ramiona.

Jak szubienice!

Nie, nie, to tylko tłum gałęzi...

Ciszej — te drzewa chcą wyszumieć tajemnicę

żem tu — zbir przyjdzie i uwiezi. —

Co?! tentent? Mkną kozacy w cwał —

to uderzenia kopyt tak złowieszcze  
po mózgu mym... Co? zabrzmiał strzał?!

Ja nie chcę, nie chcę jeszcze!

Wszak walka nieskończona,

wszystko ocieka krwią w szaleństwie i proteście,

a błyskawica, w chmurach zawieszona,

na gnębieli gruchnie w mieście!

Cisza... Rozpacznym, dzikim snom

wtórzy ulewa...

Śpi opuszczony, wiejski dom,

za oknem w mgłach tak długo, strasznie szumią  
[drzewa...]



## IDEA.

Święta Ideo, o dostojna Pani,  
przeciw tyranom walcząca tyranko,  
Jesteśmy u stóp twych, korni poddani,  
li tylko hołdu drobniutką wiązanką!  
Grażaś mi pieśni na przesłodkiej cytrze  
by oczarować i ducha i ciało,  
i w swą niewolę zwabiłaś mnie chytrze  
lichym łachmanem i raną zropiałą!  
A z tej miłości ku tobie ogromu  
rosł dla miłości dawnych przeniewierca:  
próg rodzinnego przestąpiłem domu,  
a na tym progu — rozdeptałem serca.  
I odtrąciłem kochanie dziewczęce,  
boś we mnie wszystko schłonęła, wyzarła,  
i nic nie czułem, gdy łamała ręce,  
mówiąc, że wielka jasność w niej umarła!  
I zaniedbałem odtąd śpiew i kwiaty,  
i opuściłem piękna gmach tężowy,  
a ukochałem męczeństw twych stygmaty,

wargi me znały tylko zew bojowy!  
Święta Ideo, przedostojna Pani,  
kto twej potędze niezbląganej sprosta?  
Twi zaprzańcy błędzą bólem gnani,  
wszędzie dosięga ich twej wzgardy chłosta!  
Święta Ideo, przedostojna Pani,  
dzięki ci składam za twe hojne dary:  
za trud bezdomny, i za cierń, co rani,  
i za skazańca łachman zgrzebny, szary!  
Czasami tylko jawisz się, Straszliwa,  
twego rycerza bolesnym żrenicom...  
Pieśni o tobie głoszą różne dziwa,  
cudowną krasę nadają twym licom,  
lecz ty... Wszak w krwawej pławi się kałuży  
tron twój — a w głowie masz paszczę Molocha...  
Czemuż ma dusza tak ci wiernie służy,  
czemuż tak ciebie rozpaczliwie kocha?  
Za to, że w żarach twoich mnie przepalasz  
i wkładasz brzemię nad siły na bary,  
za to, że tworzysz, gdy gniesz i obalasz,  
za to, że każesz urastać w bezmiary,  
za to cię kocham każdą mą ofiarą,  
każdym męczeństwem, wszystkim, co mnie rani —  
dla ciebie zginę z straszną, mocną wiarą,  
święta Ideo, przedostojna Pani!

\* \* \*

Idea, wizya nikła i rozwiewna,  
w kształcie objawić chce pełnię swych kras:  
chce żyć dreszczami mięśni i krwi tętnem,

oto przychodzę, by ci rzec: już czas!  
Idź zerwać słońce buntowniczą dłońią!

Niech w tobie zabrzmi krzyk gromowej woli,  
niech się przeleje w wielki głośny czyn!  
Oto potężna pieczęć wykończenia  
jest odkupieniem wszystkich nędz i win!  
Idź zerwać słońce buntowniczą dłońią!

Niech cię szalone rozpalą pożary,  
niech ci się butnym gniewem ściągnie brew —  
zrzucić słodkie piękna girlandy — okowy,  
wstań, jako olbrzym, wstań, jak rycerz — lew!  
Idź zerwać słońce buntowniczą dłońią!

\* \* \*

W bezsenną noc nie stawaj przy mem łożu  
ty blade widmo, bracie mój, nędzarzu!  
Chcesz duszy mej? Już ją rzuciłam morzu,  
pogrzebły fale ją w podwodnym wirydarzu.  
Na morza dnie, na dnie niezgrunтовanem  
śpi dusza ma, złamana i zmęczona,  
z falami nie chce łąkać, nie śmieje się z orkanem,  
gdy okręt-ptak na rafach ranny kona!  
Chcesz duszy mej — wyciągasz po nią ręce,  
rozkrajasz mózg, rozdzierasz pamięć-ranę:  
o, dość walczyłem już w łzach, w nieprzytomnej męce  
za szary łachman twój, za serce twe zdeptane!  
Zatrzepotana pierś powietrza już nie chwyta,  
i rzeźwa moc odeszła moich kości,

a widmo twe, co noc surowo pyta:  
— Przecz odstąpiłeś mnie dla ciszy, dla wieczności?  
— Miałem olbrzyma ból, a moc nikczemną karła,  
gdy miecza było trza, nie miałem nic, prócz noża,  
patrzyłem na twój trud — i dusza mi umarła,  
leży wśród zimnych fal na dnie cichego morza.  
To morze twoich łez, to morze takie słone —  
lecz gdy zarzewie walk te fale przesusza,  
gdy wszędzie słońce twe, radością aż szalone,  
to zadrgnie w strasznym śnie — i zmartwychwstanie

[dusza! —

Lecz teraz nie budź jej — niech długo śpi spokojna!  
Zabił ją niemy gwałt, zdławiła ją obroża...  
Więc niechaj orkan dmie, niech rozszałeje wojna,  
a ona niechaj śpi na dnie cichego morza!

\* \* \*

Nie, ja nie patrzę nigdy na was, tłumy,  
przez szkła różowe, idealne tęcze:  
znam wasze karle serca i rozumy,  
waszą małością i brudem się męczę.  
Was nie napoi moja krew serdeczna,  
ani obmyje moja łza przeczysta...  
Dolina wasza szara, bezstoneczna,  
was straszy droga górna i urwista!  
Próżno, przewodnik męstwem oszalały,  
zemdlałą dłonią wciągam was na granie —  
Szepczecie trwożnie: — Tam, tam lodozwały,  
chatnych zaduchów tam nie pozostanie!  
Nasz wzrok przyziemny, wąskie nasze płuca,

nas może zabić tchnienie wichru wolne! —  
I szlak wyżynny każdy z was porzuca,  
by zejść na ścieżki znane i padolne.  
A jednak w ducha waszego mur gruby  
skrwawiona dłoń ma niestrudzenie wali,  
a jednak serce me, niepomne zguby,  
rzucam wam do stóp, byście je deptali!  
Choć zło niejedną turnię porozkrusza  
na pył rodzajny pod zasiewy wraże,  
jednak was dźwigam — bo mnie Wieczność zmusza,  
bo wielka miłość, wielki ból tak każe!





## POTĘPIONA.

Podęptałam ze wzgardą nasze stare prawa,  
rozerwałam sieć waszych nędznych, czczych omamień,  
wybuchnęłam, jak luna potężna, jaskrawa —  
wyście mnie potępili i rzucili kamień.

I samiście się zlekli, słabe, wątłe dusze,  
klątwa się rozplynęła w litość dla grzesznicy,  
która wolność zdobyła w walki zawierusze  
i bije świętokradzkim ostrzem błyskawicy

w wieże starego tumu, w spróchniałe ołtarze...  
Grzesznica, gwałcicielka dawnego zakonu,  
ja was obrazem kłamstwa waszego przerażę,  
obrazem złego jadu, wszczepianego łąnu,

pod osłoną surowej, strupieszalej księgi.  
Oto stoję przed wami, silna, nie związana  
ni tchórzostwem sumienia, ni fałszem przysięgi  
i was, czystych, ja sądzić będę, — ja, skalana!

Drzyjcie! Z bólu pokoleń narodził się sędzia,  
mściciel szczęść, mordowanych chłodną dłonią kata!  
Jasno świeci mej prawdy biel naga, łabędzia,  
niepotrzebna jej waszej obłudy pstra szata!

Wasza klątwa zbudziła we mnie szczęście dumne,  
zbudziła rozmach walki nieugięty, twardy, —  
lecz wyście otworzyli mi swą litość — trumnę —  
waszą litość odtrącam ze śmiechem pogardy!

Wyście nazbyt ubodzy, wy nie macie daru  
dla mnie, bogatej straszny przepychem nabobów!  
Jako? Chcecie do cieśni strącić mnie z bezmiar, —  
mnie, wolnej, na znak łaski zwrócić piętno rabów?

Chcieliście mnie przygarnąć, jak zbłąkane jagnię,  
lecz mnie trzody nie trzeba, ja latam, jak ptacy!  
Mocarka śmie dokonać wszystko, co zapragnie!  
To wy przyjdźcie o skarby błagać mnie, żebracy!



## PRZESZKODA.

Przeżarły dłonie me żelaza oków rdzawe,  
bezwładna wola ma szalała, rwąc się w dale...  
Szarpnąłem ciężar pęt — wyrwałem dłonie krwawe,  
i wolność, zdobycz mą, ubrałem w krwi korale!  
Zagrało w piersi mi nadludzkie upojenie,  
strąciłem śniegi z gór — i oto pod lawiną  
pogrzebłem stary tum, bo czczono w nim cierpienie,  
i starłem krzyże w proch — są bólem, więc niech giną!  
Ja idę, idę w dal — a wolność pierś rozszerza,  
niewolę dawnych form druzgoczę młodą mocą,  
i idę tam, gdzie lśnią nieznanych mórz wybrzeża,  
gdzie czoła dumnych skał zorzane blaski złocą!  
Mnie niesie w ona dal zwycięski krok olbrzyma,  
napróżno kłątwy grom i bladych trwóg wołanie  
u stóp się czołga, w skroń uderza — któż mnie wstrzyma?  
Kto zdoła wstrzymać nas, o bracie mój orkanie?  
Ze wszystkich przeszkód już zostały rumowiska,  
tworzyłem, burząc świat — niszczyciel i morderca.  
Wtem — widzę u mych stóp, jak żywy krzak ogniska,  
jak buchającą pieśń — przedziwną różę serca.  
Precz z drogi mojej, precz! Mam zdeptać serce  
[drżące?...

Pragnienie smaga krew, jak morza wał się spiętrza...  
Precz z drogi mojej, precz! Jak blady kwiat na łące,  
zdepczę je wzgardą stóp — niech mrze, jak pieśń  
[najświętsza!

Precz z drogi mojej, precz! Drętwieje stóp odwaga...  
Ja muszę naprzód iść przez gruzy i mogiły,  
to serce zdeptać chcę... A stopa znów się wzdraga...  
Złamany padam w proch przed sercem w łzach

[beziły...]

Na ostry padłem gruz — na własne me zwaliska  
i własną moją pierś spętana niszczy burza...  
Konam w beziły łzach — a dal tak bliska, bliska...  
Nie mogąc zdeptać — mrę... Na drodze — serce —  
[róża...



## GDZIEŚ KWITNĄ RÓŻE...

Gdzieś kwitną róże...

Ja zapomniałem,  
że przy omszonym, zamkowym murze,  
gdzieś kwitną róże.  
Ja miałem czoło, zroszone potem,  
mnie tak bolały strudzone ręce,  
dźwigając bryły, bijąc w nie młotem —  
ja upadałem we łzach i męce,  
i moją mękę szczęściem nazwałem,  
bo wznieść musiałem olbrzymi gmach,  
i pracowałem bez słońca, w mgłach,  
i zapomniałem,  
że w noc wiosenną, cichą i wonną

Gdzieś kwitną róże...

Coś łka tęsknotą straszną, przedzgonną...  
W ciemnej, królewskiej swojej purpurze  
gdzieś kwitną róże...  
Wy zapomniane, z życia wygnane,  
wróćcie wasz tajny, mocny aromat

i rzeźwe tchnienia, w rosach skąpane. —  
Ja, w oceanie człowieczych gromad,  
zgubiony łąd,  
dźwigam się z głębi, mnie niesie prąd  
tam, ku brzegowi, gdzie morza śpiewy  
pieszczą melodyą kwitnące krzewy...  
Tam, na wybrzeży morskich urwisku

Gdzieś kwitną róże...

Wśród siwych ruin, przy obelisku,  
wieńczącym ciche, słoneczne wzgórze,  
gdzieś kwitną róże...  
Coś niewymowną tęsknotą płacze:  
życie, ty życie w walce z orkanem!  
Oto strzaskane czołno rybacze...  
Śnię o czymś dawnym, czymś zapomnianem,  
o nocy cichej, wiosennej, wonnej,  
o dniu wśród sennych niebieskich grot...  
O nich, mój ciężki podnosząc młot,  
ja zapomniałem —  
i znów w tęsknocie marzę przedzgonnej:

Gdzieś kwitną róże...



## JODŁY.

Na skalnym zrębie stały jodły,  
wrzynały w szafir kontur śmigły,  
ostrzem wierzchołków chmury bodły,  
swe szmaragdowe jeżąc igły.  
Nad kosodrzewin rodzaj karli  
wzniosła je moc i spokój hardy —  
aż ludzie wirchu ich dotarli  
i uderzyły w głaz oskardy,  
kamienne stocza gór otłukły,  
wydarły krzepkie jodły górze,  
że pniem upadał pień wysmukły,  
w dół powleczono je na sznurze,  
w wydnię piaszczystą zasadzono,  
aby powstrzymać lotne piaski.  
A ponad śnieżnych gór koroną  
w tęczach wschodziły, gaśły blaski...  
I marły patrząc w dal olbrzymią,  
gdzie wicher chorały potęg śpiewa,  
gdzie sine mgły po zboczach dymią,  
wiecznie-zielone, smutne drzewa...



## RYCERZE GIEWONTOWI.

Dzwon na gotyckiej zabrzmiał wieży,  
pochwycił echo wiatr,  
i leci dźwięk — tam — ku rubieży  
kamiennych piersi Tatr,  
dobrzmiał — padł na skroń Giewontowi,  
rycerze w głębi grot  
budzą się. — Czyście już gotowi,  
by przelać krew i pot?  
Oto już wieki, wieki śnicie,  
cisi, jak mszysty głaz,  
a tam — hań — wre i tętni życie,  
pełne i mąk i kras!  
Wieki nad wami oto wisi  
kłątwa kamiennych cisz,  
a wam pierś szarpie kiel tygrysi,  
ramiona gniecie krzyż!  
Niech krzepki zastęp się wymrowi,  
jak młodych smreków las!  
Wstańcie, rycerze Giewontowi!  
wstańcie! Już przyszedł czas!

Snem ociężałą wznosi głowę  
zbrojny rycerzy wódz:  
Cisze klątwne, bezechowe  
trza żywym cudem zmódz!  
Niech w zorzę mrok się wyanieli,  
zakwitnie suchy strąk,  
niech skaza grzeszna szuka bieli  
wśród nieczłowieczych mąk!  
Dłoń wybielona, dłoń liliowa  
niech chwyci dzwonu sznur,  
ocknie się rzesza Giewontowa,  
zstąpi w niziny z gór!  
Bo wyzwolenie z mgły omamień,  
karm dla zgłodniałych rzesz  
przynosi skromny łomikamień,  
nie cieplarniany kierz!  
Kwiat, co mozolnie skały wierci,  
trze w życiodajny ił,  
kwiat, co wydziera życie śmierci  
walką tajemnych sił!  
Bo nie ta dusza niewzruszona,  
co skrzepła w równy blask,  
lecz ta, co grzeszna, z bólu kona,  
ma w sobie zaród łask!  
Ta, która władna i służalcza  
podejmie wszelki trud,  
ta która mrokom jaśń wywaleza,  
ta stworzy żywy cud!  
Ta która dniom i zorzom nowym  
zgotuje w sercach tron,

ta niech rycerzom Giewontowym  
uderzy głośno w dzwon!

\* \* \*

Kłębią się, kłębią mgły sinawe,  
pełzną przez bór na grań...  
Oczy w mgłach toną — oczy łzawe,  
a w piersi pełno łkań.  
Hań, tam od turni, z wywierzyska  
bije srebrzysty smug,  
szumi i gędzi, pianą tryska,  
a u rozstajnych dróg  
rozpacz kamienna, rozpacz ślepa  
wtula się w złomy skał...  
Zawisła chmur nawałnych krepą,  
zerwał się wichury szał,  
z dzikim porykiem smreki wali,  
krze potrząsał z ros...  
Płynie ku wirchom, poprzek hali,  
mąk niewymownych głos:  
— Ku tobie, lilio, ja się modłę!  
Naodziej moją skroń!  
O kruczy stawu! Niby jodle  
daj paść odbiciem w toń!  
Odźwierciedl ciężkich mąk stygmaty  
i ciemne piętna skaz!  
Chcę zmyć je czystą krwią objaty,  
czeka ofiarny gład!  
Ku tobie modłę się, orkanie,  
wyrwij i zdruzgocz grzech,

daj mi twej mocy królowanie,  
daj twój piorunny dech!  
Oświeć szkarłatnym twym zygzakiem  
niedoścignioną perć,  
wiodącą tam, gdzie z widm orszakiem  
władnie w przestworzach śmierć;  
zmuszę ją rzec przez możliwe czary,  
gdzie tajemnicy schron,  
odnajdę drogę do pieczary,  
uderzę w wielki DZWON!  
Lilio, siostró srebrnolista,  
ty łyzi nademną roń,  
i złotem sercem twym, przeczysta,  
na odrodzenie dzwoń!  
Ku tobie modłę się, orkanie:  
zakuj me ramię w stal,  
daj mi twej mocy królowanie,  
o wicherze, wicherze z hal!  
Grot wraży, którym mnie przebodli,  
zmięnię w zwyciężką broń!  
Lilio, ku tobie duch się modli:  
naodziej moją skroń!

\* \* \*

Jako z pod warstw piarzystych kamień  
uwalnia praca wód,  
tak w duszy ludzkiej z pod omamień  
wybłyśka prawdy cud.  
Oto się cicho wykryształata  
stawu bezdenna krucz

i jasny promień się zapala  
w głębi stęsknionych ócz.  
Oto ze stągwi miodnych rzesze  
syci rój myśli — pszczoł,  
oto duch z siebie blaski krzesze  
dla uznojonych czoł,  
i oto w żarach się wybiela,  
niby na słońcu len,  
i lazurowy śmiech wesela  
wplata we zjaw i sen.  
Do urny wrzuca łyzi popielnej,  
a wznosi życia krucz,  
w cichej komunii niepodzielnej  
daje się każdej z dusz.  
Przeziera czystym wzrokiem tonie  
o niedosiętych dnach,  
świętą obiata co dnia płonie  
w ognia własnego skrach.

\* \* \*

Przez orlą perć, po gwiazdnej drodze,  
nadszedł promienny świt,  
w ametystowych mgieł sześrodze  
lśni Giewontowy szczyt.  
Przez ciemne regle i przez hale  
lekką podaża wzwyż  
ta, co w pokutnych łyzi kryształata  
pięść spancerzyła w spiz.  
Jasna dziewczyna, można w czary,  
w górę kieruje krok

i szuka perci do pieczary,  
gdzie Czyn uwiżył Mrok.  
Dziewięciorniki i genciany  
stoją w brylantach ros,  
piętrzą się dumnie turni ściany...  
Wicher jej rozwiął włos,  
lecz niesie, idąc w blasków nimbie,  
w swej piersi żywy cud...  
Wicher szeleści w ciemnej limbie,  
w szczelinach iskrzy łód.  
Oto zakłète składa wota,  
czaruje mocą słów,  
i otworzyła się jej grota,  
a w niej — uśpiony huf.  
Idzie, jak powiew rzeźwy, świeży,  
poprzez wiekową pleśń,  
liliową dłonią w dzwon uderzy,  
rozechowiła pieśń,  
rozdarła ciszę błyskawicą,  
wstrząsała gałęzmi drzew...  
Nad każdym wirchem, krzesanicą,  
dzwoni radosny śpiew.  
Lud dziwne dźwięki uchem łowi  
i ledwo wierzyć śmie,  
że już rycerze Giewontowi  
wstają po długim śnie!  
Najpierw kamienne snem powieki  
podniósł rycerzy wódz:  
widzi znów wirchy, hale, smreki,  
wciąga ich woń do płuc.

Ocknął się nagle duch rycerza!  
chwytą zerdziałą dłoń!  
Znak odrodzenia, znak przymierza,  
niesie liliowa dłoń.  
Rozwiął bezwładnych śnień męczarnie  
słoneczny życia dar...  
Do piersi jasną postać garnie,  
z ust pije moc i czar!  
Hej! huf radosny się wymrowi!  
Wódz w róg złocony dmie,  
wstają rycerze Giewontowi,  
wstają po długim śnie!



## BOJOWIEC.

Odkąd ujrzałem, jak mroczne szatany  
dławią przejasne, ofiarne cheruby,  
odtąd chcę kroczyć przez krew i przez rany,  
i kocham dzieło śmierci i zaguby!

Odkąd ujrzałem, jak zło się rozpełza  
po kwiatach życia w wstrętne węzowiska,  
jak ich ohydy żaden cios nie kielza,  
a nadeptanie — tylko jad wyciska, —

odtąd każdego, który jest kamieniem  
drodze, lub chmurą na obliczu słońca,  
przysięgłem tępić z świętem uniesieniem,  
bom rycerz prawdy i światła obrońca.

Chcę być piorunem, który w las uderza,  
wypala zgniłe pniaki i wykroty,  
by na tem miejscu wzrosła trawa świeża,  
zakwitł kobierzec kwiecica szczerozłoty.

I oto sen mój śnię, mój sen potężny:  
jam mściciel: stoję spokojny i dumny,  
dokoła huczy tłum wrogów orężny —  
zebrałem siły, wstrząsnąłem kolumny,

wałą się gruzy pod dłońią Samsona,  
co nad zdrajcami sąd straszliwy czyni,  
i sam w grobowcu przeolbrzymim kona  
z ciał gnębieli, z ruin ich świątyni...

\* \* \*

Tędy przejeżdża. Chodzę pośród tłumu,  
w ustach mam gorycz łez głodnego ludu,  
uszy mam pełne strasznych skarg poszumu,  
na stopach ślady niktzemnego brudu,

który rozsiała dłoń sprzedajna wszędzie...  
Temu, co straszyl jednym swem nazwiskiem,  
temu, co szalał w cynicznym obłędzie,  
dzisiaj odpowiem nareszcie — pociskiem.

Chodzę wśród tłumu — czuję się szczęśliwy.  
Ty zejdziesz w dymach wśród straszego huku.  
Siostrzo-Zagłado... Wtem, pachnący, żywy  
widzę hyacyntów śnieżnych pęk na bruku.

Ktoś go upuścił. Podnoszę te kwiaty,  
to będzie maska, zwrócę mniej uwagi...  
Czemuż ich tęskne, lekkie aromaty  
przypominają ciche sarkofagi?



Sen zapomniany, życia sen czarowny  
jakiemś zdławionem łkaniem się odzywa...  
Ja, mściciel ludu, bojownik hartowny  
słabnę, jak słabnie napięta cięciwa.

Nie, nie, jam silny! Wehłaniam raz ostatni  
cały czar życia z zapachem kwiatowym,  
i ślę drużynie z dali uścisk bratni  
i pozdrowienie dniom wschodzącym, nowym!

Oto nadjeżdża. Krzyżują się oczy,  
jak nienawiści cztery błyskawice...  
Rzucam się naprzód, w oczach coś się mroczy,  
widzę przy sobie Zagładę — siostrzycę...

.....  
.....



174665



## SPIS RZECZY.

	Strona
Pieśń moja zrodzona . . . . .	3
Więzień . . . . .	4
Okręt zbawienia . . . . .	6
Do towarzyszek więzienia . . . . .	9
W noc jesienna . . . . .	11
Byłem prorokiem . . . . .	13
Byłem męczennikiem . . . . .	14
Dzieło . . . . .	16
Po śmierci . . . . .	17
Wiosna idzie . . . . .	19
Ogród rozkoszy . . . . .	22
W ukryciu . . . . .	23
Idea . . . . .	25
Potępiona . . . . .	30
Przeszkoda . . . . .	32
Gdzieś kwitną róże... . . . .	34
Jodły . . . . .	36
Rycerze Giewontowi . . . . .	37
Bojowiec . . . . .	44

Kraków 1908.

Drukarnia Władysława Teodorczuka.

Nakładem wydawnictw: „Naprzodu“ w Krakowie, „Głosu“  
we Lwowie, „Robotnika Śląskiego“ w Cieszynie, „Górnika“  
w Mor. Ostrawie.